



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

— Nie przechwalaj pan tak Polaków, — uśmiechnęła się pani Porecka, — znam bardzo dobrych mężów wśród Moskali, Francuzów i Anglików.

— Ja nie pochwalam Polaków, — odparł sąsiad, — przeciwnie, ganię im tę politykę uczuciową i w życiu publicznym i prywatnym. Zachciwiewa się żonie zostać samej, bawić się, flirtować, mąż kładzie uszy po sobie i zostawia jej swobodę wbrew rozumowi i doświadczeniu.

— Czy pan żonaty? — spytała surowo pani Łacka.

— Nie.

— Dlaczegoż pan jest takim wrogiem niewiast? — odezwiała się odmierzoną, dystyngowanym tonem panna Porecka.

— Jest, proszę pani, pewien wiek u mężczyzny, — uśmiechnęła się złośliwie pani Mniewska, — że z natury rzeczy stają się wrogami kobiet młodych.

Panie uśmiechnęły się dyskretnie, ale doktor, pan Michał i pan Maniecki zaśmiali się wesoło.

Pani Wanda odczuła pewną przykrość, że w swym postępowaniu z mężem może się wydać podobną do pani Mniewskiej, która, jak się jej zdawało, jest kokietką i dla większej swej swobody pozbyła się męża. Zrażona, milczała, nie biorąc udziału w gwarnej rozmowie o różnego rodzaju mężach i żonach. Niemile ją też doknęło, że mąż jej zgadzał się bardzo chętnie z ostrą a często zjadliwą krytyką niewiast, a zwłaszcza żon, głoszoną przez pana Manieckiego.

— Nie powiadam, jak Nitsche, że w stosunku do kobiety trzeba mieć zawsze szpicrutę w ręku, — uśmiechnął się pan Maniecki złośliwie, — ale należy mieć surową, stanowczą wolę i nie poddawać się jej urokowi zmysłowemu, inaczej nie będzie obiadu dobrego, porządku w domu, dopilnowania dzieci, a mąż schodzi na niewolnika jej kaprysów i wybuchających nerwów.

— O, pan zna kobiety, — śmiał się uradowany pan Michał, — i ja mogę dodać, że z kobietą, jak z dzieckiem, należy surowo i sprawiedliwie postępować.

— Kuzynka pozwala mężowi wygadywać takie herezy? — spytała pani Łacka z miną kwaśną.

— Zostawiam mu zupełną swobodę, — odpowiedziała uprzejmie.

Podawano deser, więc pani Łacka dopiero po chwili rzekła z uśmiechem:

— Obojętność kuzynki jest niemal chorobliwa... i na co leczy się tutaj kuzynka?

— Na osłabienie, — odpowiedziała z pewnym wahaniem.

— Ale jakie osłabienie? — spytała ze współczuciem pani Porecka.

Pani Wanda wśród chwilowej ciszy, spowodowanej zainteresowaniem się całego grona jej chorobą, zarumieniała się i przelotnie spojrzała na doktora, który mógł ją wydobyć z kłopotliwego położenia zwierzenia się z jej dolegliwości.

Doktor pochwycił to spojrzenie i pospieszył z pomocą:

— Osłabienie woli, a stąd brak wesołości, zaufania w swe siły i odporności w razie obaw bezpodstawnych. Ale to minie wkrótce przy odrobinie zachęty i w tak miłym towarzystwie.

— To są choroby ludzi bogatych, — mówił zgryźliwie pan Maniecki, — ci, którzy pracują na chleb, nie wiedzą nic o takim osłabieniu.

— Pan jesteś barbarzyńca, — zawołała pani Łacka, — nie zna się pan na tem. Ja sama, po wielkim nieszczęściu, czułam taki brak woli, że po całych dniach siedziałam, nie mogąc się zmusić do wstania, jedzenia, zajęcia się cokolwiek.

— Po wielkich katastrofach w życiu to bywa, — mówił uprzejmie pan Maniecki. — ale pani Jerzycka taka młoda, świeża, zaledwie poznaje życie i zdaje mi się, że to choroba całej generacji tych kobiet, które są wypieszczone, wychuchane, otoczone zbytkiem i miłością. Czy nie tak, panie doktorze?

— No, nie zawsze, — odpowiedział zapytany wymijająco, — bywają także takie objawy patologiczne, dużą rolę gra też autosugestia i bierność, brak krytyki w rozróżnianiu otrzymywanych wrażeń.

Obiad się kończył, wstawano od stołu, pani Wanda mimo zaproszenia, ażeby została w salonie z paniami, odmówiła i skierowała się do swego pokoju, a mąż poszedł z nią, jakkolwiek byłby wolał zostać w towarzystwie.

W hali spotkał ich doktor i przemówił uprzejmie:

— Czy pan istotnie ma zamiar porzucić nas dzisiaj? — patrzył na oboje pytająco, — niech pan odpocznie, odetchnie naszym górskim powietrzem. I pani nie będzie się czuła tak obca przy panu.

— Miałem zamiar zostać jeszcze dzień lub dwa, — odpowiedział kwaśno, — ale wobec braku miejsca ustępuję, — spojrzał nie bez gorczy na żonę.

— No, tak... jeden pokój dla państwa za mało... ale może znajdziemy sposób. Zechciejcie się państwo zatrzymać... zaraz się dowiem, — poszedł w stronę kancelarii zarządu.

— A ty, Wandziu, jak myślisz? — spytał po odejściu doktora.

— Zrobisz, jak zechcesz, — odpowiedziała obojętnie i zaczęła się przypatrywać jastrunom, stojącym przy oknie.

— Że też ty chcesz się mnie pozbyć tak gwałtownie, — uśmiechnął się z przymusem, — myślałby kto, że jesteś ze mną nieszczęśliwa.

Spojrzała na niego z głuchym gniewem i pretensją, zastanawiając się nad tem, dlaczego on ją tak męczy, nie odpowiadał ani słowa, lecz odwróciła się zupełnie od niego i patrzyła na kwiaty. On zbliżył się do niej i szepnął z naciśnięciem:

— Zapanuj nad swymi nerwami... ludzie patrzą na nas.

Istotnie część gości przechodziła z sali jadalnej przez halę, rozmawiając swobodnie i z ożywieniem, co drażniło panią Wandę, więc rzekła porywczo:

— Ludzkich sądów ja się nie boję, a jeśli ciebie drażni moje zachowanie się, mogę odejść, — zwróciła się ku schodom.

Pobladł z gniewu i rzekł głucho:

— Zaczekaj, doktor idzie!

— Jeśli pan ma ochotę zostać, — mówił doktor uprzejmie, — jest na jedną dobę pokój oddzielny w sąsiedztwie, gdyż na tem samem piętrze.

— Bardzo dziękuję panu doktorowi, ale sam nie wiem, — spojrzał przelotnie na żonę, — czy skorzystam z uprzejmości pana.

— Sądzę, że będzie pan spokojniejszy o żonę, gdy pozna pan życie w naszym zakładzie, i pani będzie przyjemniej, — patrzył na nią.

— Jeśli jest osobny pokój, może zechcesz zostać, — powiedziała obowiązkowo.

— Mamy dobrą sannę, — zachęcał doktor, — urządzi się jakąś wycieczkę.

W tej chwili obok rozmawiających przechodziła pani Łacka, przystanęła i powiedziała:

— Jeśli idzie o wycieczkę, panie doktorze, przyłączam się do niej z Ryfą. A dokąd jedziemy?

— Nic nie wiem, — uśmiechnął się doktor, — proponuję państwu Jerzyckim.

— Jakże kuzynka dobrze zrobiła zatrzymując męża, — zwróciła się do pani Wandy, — pojedziemy do Kuźnic, zobaczy kuzynka, jak tam pięknie. Kiedy jedziemy?

— Mąż może jechać, ja czuję się zmęczona.

— O, nie zostawimy kuzynki na pastwę samotności, — zawołała pani Łacka, — trzeba z nami jechać, rozerwać się, zabawić.

— Nie mogę.

— Co to, nie mogę? — zaśmiała się pani Mniewska, — to słowo jest niewłaściwe dla tak młodej mężatki, powiedz pani: nie chcę... I ja pojedę także, a może pani ze mną? — zwróciła się do panny Poreckiej.

— Zaraz spytam mamy, — poszła szybko w stronę salonu.

Zaczęto rozmawiać z ożywieniem, w którą stronę jechać, a gdy przechodził obok szczupły, młody szatyn, z długimi włosami, spadającymi w nieładzie poniżej kołnierza czarnej marynarki, zaczęła go pani Mniewska pytać:

— A pan, nie pojedzie z nami?

Udał obudzonego z marzeń, spojrzał dokoła, zatrzymał chwilę wzrok na pani Wandzie i rzekł posępnym głosem:

— Wesolym być nie mogę, a nie chcę być smutnym towarzyszem, — skłonił się lekko i powolnym krokiem powlókł się dalej.

Pani Łacka, niepytana, objaśniała panią Wandę:

— To jest pan Henryk Szarocki, sam siebie nazywa poetą, coś już drukował. Nie czytała kuzynka?

— Nie pamiętam.

— Trochę dziwak, ale czasem mówi przyjemnie... cóż, jedziemy kuzynko?

— Nie mam ochoty.

— Trzeba się zmusić, — doradzała szczerze, — w samotności nachodzą smutki. Niechże pan namówi, poprosi, — zwróciła się do Jerzyckiego, — od czegoż pan mężem?

— A możebyś pojechała Wandziu... takie świeże, mroźne powietrze uspokoi twoje nerwy.

— Zostanę, — powiedziała stanowczo, — i zrobisz mi przyjemność, gdy będziesz towarzyszył paniom.

— Radziłbym pani, — odezwał się doktor, — przejść się pieszo, to odświeży panią.

— Dobrze, panie doktorze, — odpowiedziała uprzejmie i poczęła żegnać towarzystwo, wybierając się na wspólną wycieczkę. Ożywienie pań, ich podniecenie spodziewaną przyjemnością, gwar głosów, krzyżujące się pytania, odpowiedzi, polecenia, śmiechy i żarty przy ubieraniu się, raziły